

Przemówienie
Profesora Jana Kieniewicza
wyłoszone podczas uroczystości odnowienia Jego doktoratu
5 grudnia 2018 roku na Uniwersytecie Warszawskim

Odpowiedzialność historyka wobec przyszłości

„*Historia to studium społeczeństw dawnych i dzisiejszych*”, tak Fernand Braudel pointował swój wykład przy okazji nadania mu doktoratu *honoris causa* przez Uniwersytet Warszawski 23 kwietnia 1967 roku. Nadał mu tytuł *L’histoire „opérationelle”*. Nawiasem mówiąc, mógłby wyłosić go i dzisiaj. Postanowiłem przyjąć te jego słowa za motto własnego wykładu. Przecież to także pod ich wpływem postanowiłem dodać: „*a także przyszłych*”.

W ten sposób powstała konkluzja rozprawy habilitacyjnej:

„Historia jako nauka zaczyna się dla mnie w momencie, w którym decydujemy się odrzucić balast zgromadzonej wiedzy o przeszłości... Historia to odbieranie złudzeń, przedstawianie społeczeństwu lustra, które niezdolne jest do kłamstwa. Czy jednak historia może cokolwiek poradzić na to, że ukazywany obraz nie zyskuje akceptacji? Mało kto chce znać prawdę o terażniejszości, szukamy przede wszystkim utwierdzenia własnych przekonań. Szansę historii widzę natomiast w tym, że każdy jest ciekawy losów przyszłych. Historyk, który ma odwagę sięgać w byłe, rekonstruować przeszłość i tłumaczyć sens współczesności musi konsekwentnie otworzyć drogę ku temu, co nastąpi. Futurologia jest konsekwencją uprawiana historii, jest jej kwintesencją.” (*Kerala. Od równowagi do zacołania*, Wydawnictwa UW, Warszawa 1975, s. 173).

„Teza Kieniewicza brzmi zuchwale, niemal prowokująco” napisał Tadeusz Łepkowski w 1976 roku (w *Tygodniku Kulturalnym*), ale na tym się skończyło. Tę prowokację pojęła i wydobyła na światło dzienne dopiero Ewa Domańska. Dziś powinienem przyznać, że nie miałem pojęcia o tym, co spotka moją dyscyplinę w ciągu następnej dekady. A historia, o której wtedy myślałem, została zakwestionowana, zanim Fukuyama ogłosił koniec historii. Inne sprawy w latach osiemdziesiątych wydawały się ważne, może dlatego tak obojętnie odnieśliśmy się do nowych trendów?

Kim sądzi się być historyk, że śmie się pytać o swą odpowiedzialność? Stoję przed tym pytaniem jak zebrani w sali do gry w piłkę wobec prowokacji opata Sieyésa: czym jest historia? Wszystkim. Czym jest w obecnym porządku politycznym? Niczym. Czego żąda? Otóż przeciwnie do sytuacji z 1789 roku odpowiedź nie brzmi „bycia czymkolwiek”. W obecnym stanie świata historia

powinna żądać dla siebie uwagi, wysłuchania. O ile oczywiście będziemy gotowi zrealizować postulat Braudela i uczynić ją operacyjną.

Historycy zawsze lubili się postrzegać jako kapłani Historii (dużą literą!), a przynajmniej jako kustosze przeszłości. Odkrywamy, przechowujemy, opowiadamy a w końcu interpretujemy przeszłość. To jednak nie stanowi istoty naszego powołania! W przysiędze doktorskiej z naciskiem potwierdzamy: *non sordidi lucri causa / nec ad vanam captandam gloriam, / sed quo magis veritas propagetur / et lux eius, / qua salus humani generis continetur, / clarius effulgeat*. Mamy poszerzać zasięg prawdy oświecającej ród ludzki. Wielcy tego świata przechodzą do historii dzięki nam, uznając (nie zawsze) swą odpowiedzialność przed historią, jako kiedyś równorzędną z Bogiem. My nie przechodzimy do historii, ale uznajemy się nieraz za równie ważnych, zwłaszcza od czasu gdy zlikwidowano Boga. Bolesnie odczuwając okazywane nam lekceważenie zamykamy się w naszych okopach czy wieżach. Cyprian Norwid doskonale dostrzegał ten problem. Lubię przywoływać jego wiersz:

Wiele jest, gdy kto pomierzył stary cmentarz,
Albo i genealogiczny dąb –
Wiele, jeśli inwentarz
Skreślił, zajrzał epokom w głąb
I upostaciował opis...

Ale, jeśli on w starca, w męża, w kobietę
Powrócił strach ów, z jakim dziad ich drżał,
Patrząc na pierwszego kometę,
Gdy po pierwszy raz nad globem stał:
. to – dziejopis!

Aż z czasem zauważyłem, że kieruje mną właśnie niezbyt godne pragnienie chwały, chęć bycia uznanym za Dziejopisa...

Patrząc wstecz na tamte lata wydaje mi się, że dotknąłem ważnej kwestii, ale trzeba było wielu lat (i kilku książek), by tę intuicję przekształcić w projekt. Jest on minimalistyczny, bo historyka sprowadza do funkcji dostawczych. Z jednej strony powinien zapewnić najwyższą jakość informacji o przeszłych zdarzeniach i procesach. Wiedząc wszystko o nierealności odtworzenia wydarzeń ma przecież szansę wnioskowania ze śladów. Nie odmawiajmy sobie tego, co oczywiste dla paleontologów, geologów czy kryminologów. Z drugiej strony jego obowiązkiem jest wskazanie wzorów projektowania właśnie przyszłości. To wynika z obowiązku głoszenia prawdy. Pomijam tu najczęściej przypisywaną historykom rolę opisywacza, to „upostaciowanie opisu”. Projekt nacełowanej na przyszłość eko-historii operacyjnej jest równocześnie maksymalistyczny, ponieważ domaga się dopuszczenia do głosu.

Tak więc Dziejopis stał się dla mnie figurą historyka odpowiedzialnego, który chce poruszyć umysły i uwydatnić przesłanie. Zmagalem się z tym przez lata, z różnym skutkiem, aż w końcu doszedłem do wniosku, że wszelka próba określenia czym jest dla mnie historia, wymaga przyjęcia odpowiedzialności za prawdę. Uznałem, że ponoszę ją wobec przyszłości.

Sprawa nie jest oczywista. Pewne jest tylko, że sprawiedliwość historykowi wymierzy przyszłość. Nie dlatego, że upływ czasu zrewiduje jego ustalenia, sądy i koncepcje. Tak widział rzecz Ojciec pisząc w 1980 „Nie żywię złudzeń, że moją dość obfitą twórczość naukową czeka w niedalekiej przyszłości szybkie zapomnienie. Przetrwają – jeśli świat uniknie kataklizmu – wydawnictwa źródłowe”. W podobnej jubileuszowej okazji przyznawał mu rację Henryk Wereszycki „tym wydawnictwem zdobył Pan sobie stanowisko wyjątkowe w dziejach historiografii, bo nawet najznakomitsze książki starzeją się... Natomiast ten zespół źródeł, który jest niewątpliwie Pańskim osobistym dziełem, jest trwały bezwzględnie: *aere perennius*... Tego w naszym pokoleniu historyków nikt nie dokonał” [12 XI 1987]. Zrozumiałe jest więc, że chciałbym sobie zapewnić życzliwość przyszłości...

Być może oczekiwanie tej sprawiedliwości jest urojeniem. Kogo obchodzi dziś historiografia? Nie chodzi mi o to, że „spisane będą czyny...”. Poczuciu obowiązku towarzyszy perspektywa „zdania sprawy z władarstwa”. Jest bardzo nieprzyjemnie konkretna.

Moje pokolenie było uczone, że historyk śmiało wkracza w inne dyscypliny naukowe w przekonaniu, że wszystko co istnieje jest źródłem. Nie byliśmy jednak skłonni do refleksji nad własnym powołaniem – z wyjątkiem może Marcina Kuli. Czytaliśmy natomiast o tym wiele, i tu wypada przypomnieć lekcje pobierane od Jacques’a Le Goff’a.

Z tych właśnie lekcji wyprowadziłem tożsamość eko-historyka. Chciałem w ten sposób pokazać znaczenie, jakie w mojej formacji miały równorzędnie ekonomia i ekologia. Ale łączenie kompetencji nie jest rozwiązaniem. Problem nie tkwi w utracie poczucia wyjątkowości uprawianej dyscypliny. Gdy przyszedłem na Uniwersytet 1 października 1955 roku wiedziałem, że w świątyni nauki Instytut Historyczny to miejsce kultowe, wyjątkowe. Nigdy nie utraciłem pewności, że *historia est magistra omnis scientiae*. To raczej suma mych życiowych doświadczeń kazała mi potrzebę ze smutkiem na poniewieranie moją muzą w ciągu następnych trzydziestu lat. Poznałem z czasem te nowe nurty, tendencje i orientacje, dekonstrukcje i zwroty. Nie uwiodły mnie, może dlatego, że właśnie wtedy gdy pisałem moją Keralę, wyznaczałem sobie zupełnie nowe cele.

Ale szkoda czasu na wspomnianie. Nie chodzi mi o to, że historyk powinien być gotowy przyjąć postawę *public intellectual*. Wpojono mi przekonanie o

służbie, jaką historyk podejmuje w społeczeństwie nie z powodu obywatelstwa, a z racji specyfiki swego zawodu.

Zacytuję teraz jednego z naszych Ojców, czyli Joachima Lelewela. Kończąc około 1836 roku swój dopisek do *Historycznej paraleli Hiszpanii z Polską*, stwierdzał:

„Proszę mi wybaczyć, że obróciłem mój wzrok ku przyszłości. Kiedy się jest na końcu przeszłości, wchodzi się jednocześnie w czas przyszły, który niezwłocznie następuje. Teraźniejszość nie istnieje dla nas, jest tylko stykiem przeszłości z przyszłością, chwilą niebyłą, niepostrzegalną, nieuchwytną, która wciąż wymyka się myśli ludzkiej.” (s. 68)

Kto może się dziś mienić twórcą przyszłości?

Projektowanie przyszłości zostało ugruntowane jako zadanie twórcze po I wojnie światowej wraz z przekonaniem o kluczowej roli wspólnot narodowych. Optymizm ten wywodził się z przekonań o istnieniu naukowo poznawalnych praw rozwoju. Okazało się jednak, że prawa dziejowe ustępują woli, a projekty tworzone wedle tej woli i obiektywnych praw nie spełniają się. Czy raczej spełniają się jako koszmar. Można powiedzieć, że wprawdzie wspólnoty, zwłaszcza narodowe, powstają i trwają ale ich przyszłość pozostaje nieprzewidywalna, powiem nawet niewykonalna. Od stu lat coraz częściej w miejsce wspólnot pojawiają się masy. Co więcej w kwestiach tożsamości okazują się mieć charakter raczej konsumencki. Uświadamiając sobie fakt, że przeszłość, którą miałem badać *wie es eigentlich gewesen sein*, którą miałem rozumieć stosując prawa rozwoju społecznego, jest tylko i aż kolejną narracją jednorazowego użytku, ciągiem wyobrażeń układanych wedle zmieniających się potrzeb konsumentów, zrozumiałem, że wyklucza to mnie z kreowania projektów przyszłości.

Muszę tu wprowadzić istotne uściślenie. Ten „wspólny projekt na jutro”, jak to wyraził Ortega y Gasset, nie powinien być identyfikowany z planami przyszłości, w których lubują się wodzowie i którymi brylują intelektualisci. Oni zawsze stawiali nam cele, które miały im zapewnić wieczność. Co gorsza, tym pożądaniem chwały zarazili polityków, którzy z zasady myślą o tym, jak wypadną w podręcznikach do historii. Projekt przyszłości łączący ludzi we wspólnotę wysiłku i odpowiedzialności jest zawsze anonimowy, czasem tylko przybiera alegoryczną postać Wolności wiodącej lud na barykady. Być może narody tylko miewają takie poczucie zespolenia we wspólnie przeżywanym przekonaniu. Boimy się takich chwil, tęsknimy za nimi, ale niewiele potrafimy powiedzieć o formowaniu się takiego porywu. Co więcej, nie powinniśmy żywić złudzeń: „żadna partia nie ma pozytywnego obrazu przyszłości” pisali już ćwierć wieku temu Tofflerowie o Stanach Zjednoczonych. Dziś można to powtórzyć w odniesieniu do całego świata. Toniemy w scenariuszach najbliższych pięćdziesięciu, a nawet stu lat, opowieści o przyszłości stają się coraz bardziej fantastyczne i wieje od nich grozą. Jak od wszelkiej utopii, czy to retro czy to

progre. Jeśli umownie przyjąć rok 1968 za początek ery „zaniepokojenia planetarnego” to mamy za sobą pół wieku, które nie zmieniły oblicza tej ziemi – w sensie nadanym słowom tym na Placu Zwycięstwa w 1979 roku. Natomiast w każdym innym rozumieniu żyjemy w całkiem innym świecie, w dodatku uzmysławiamy sobie, że to co pół wieku temu było zatroskaniem dziś jest oczywistą groźbą. Przy czym zmiany zachodzące w tym czasie nie zostały zdiagnozowane w sposób umożliwiający pokazanie jak do nich dochodziło.

Oto wyzwanie dla Dziejopisa! Wyzwanie bolesne, ponieważ tak śmiało głosząc swą ideę niczego nie przewidziałem. Ta moja myśl nie została skonkretyzowana (na szczęście!) przyniosła mi natomiast wiele pożytku w rozważaniach dosyć odległej przeszłości pod kątem zmian zachodzących pod wpływem ekspansji i oddziaływania środowiska. Uważam, że postępowałem zgodnie z sugestią Braudela, ale w sposób całkowicie osobny.

Co by więc miało znaczyć, dziś czy jutro, że historyk powinien zająć się futurologią? Nie chodzi o to by przewidywał przyszłość. Wtedy miałem na myśli coś takiego, że rekonstrukcja funkcjonowania społeczeństwa w przeszłości pozwala zrozumieć także jego możliwości dalszego rozwoju. „L’histoire n’est pas seulement un récit, même de grands événements, elle est une explication”, to jeszcze raz przypomnienie Braudela [*L’ambition de l’histoire* 1997, 37]. Potem rozwinąłem całą koncepcję, której sens można ująć w stwierdzeniu o kluczowym znaczeniu procesu zmiany. Jak zachodzi zmiana? Ale przede wszystkim, jaką odpowiedzialność za przebieg zmiany może ponosić badający ją historyk?

Historycy poświęcają zmianie wiele uwagi. W istocie, ujmując wszystkie zjawiska w czasie, zapisują zmiany, interpretują je, starają się zrozumieć jak do nich doszło. To oznacza, że rekonstruując wydarzenie chcą uwydatnić zmianę i wytłumaczyć jak przebiegała. Wydaje mi się jednak, że w rozumieniu tego procesu zależą mocno od psychologów i socjologów, a może nawet ekonomistów. Dlatego na pytania o zmianę odpowiadają dziś Inglehart, Castells, Rifkin, Giddens, Wallerstein czy Bauman. W oferowanych nam modelach zmiany społecznej dominuje śledzenie skutków postępującego w gwałtowny sposób załamania dominujących i trwających do niedawna zasad ładu społecznego i struktur instytucjonalnych. Różnorodność czynników wiodących do tego załamania i jego w części już realizujący się proces ma zmienić dość gruntownie sytuację jednostki i wzory jej relacji ze światem społecznym.

Problem ten widzę w ten sposób. Biografia ludzkości to ciąg zmian w indywidualnym kodzie kulturowym człowieka [w ujęciu Marina i Rambaud]. Zachodzą one w nieustannym procesie homeostazy [zob. Damasio] i w stałym związku człowieka ze środowiskiem. Tak formuje się kultura, społeczeństwa, cywilizacje. Historyk bada elementy przeszłości i uczestniczy w powstawaniu opowieści tożsamościowych. Rozpoznaje dziedzictwo kulturowe i wie jak powstają narracje. Uważam, że to upoważnia do sądu o możliwości wpływania na kształtowanie się wzorów zachowań będących podstawą wszelkich

transformacji. W szczególności jest to zasadne, gdy broniąc homeostazy system społeczny wybiera drogę szukania nowej tożsamości. Historyk może dostrzec moment zwrotu od obrony tożsamości ku budowaniu nowej, ponieważ spotykał ślady takich zdarzeń w przeszłości. Powinien też umieć wskazać elementy dziedzictwa nadające się do wykorzystania w zwrocie tożsamościowym. To właśnie nazywam projektem na przyszłość. Dziś problem jest dramatycznie trudny, ponieważ w kryzysie są wspólnoty narodowe i ponad narodowe, a globalizacja najwyraźniej raczej oddala ludzi od jakiejś postaci wspólnoty planetarnej.

A oto próba konkluzji. Sprzężenie zwrotne między terażniejszością a przeszłością powoduje formowanie w kulturze swego rodzaju kodu zapewniającego jej trwanie. Zarazem jest on potencjalnie zdolny do wykreowania Nowej Transformacji, czyli wzoru/projektu trwania systemu w przyszłości, jego nowej tożsamości. Tak powstaje Historia, świadectwo ewolucji. Poznając, odtwarzając, interpretując i opowiadając historię dostarczamy ewolucji kulturowej istotnego materiału do tworzenia nowych wzorów postępowania. Oznacza to, że w historii tkwi zasób pozwalający na Metamorfozę, czyli na samodzielnie dokonaną zmianę tożsamości systemu. Odpowiedzialność historyka wynika z Jego etosu jako badacza, jest konsekwencją możliwości wsparcia społeczeństwa w trwaniu i w otwieraniu szansy Metamorfozy.

Jeżeli nie ustalimy jak zachodzi zmiana, nie odpowiemy na wyzwanie.

Wyzwaniem jest świadomość konieczności znalezienia rozwiązań dla globalnych zagrożeń, a jednocześnie konieczność określenia miejsca człowieka w świecie globalnej konsumpcji i trwałych koordynat w powszechnej sieci. Przegrawszy w dążeniu do utopii postępu okazujemy się zbędni w próbach utopii retro. Plemiona nie potrzebują historii, żyją mitami. Globalna wioska okazała się supermarketem, w którym historia nie trafia do koszyka.

Wobec trzech wyzwań naszych czasów: nuklearnego, ekologicznego i technologicznego odpowiedzialność historyka polega więc na dostarczeniu materiału dla projektowania zmiany, na uczestniczeniu w jego przekształcaniu w nadające się do powielenia scenariusze, na odważeniu się na sugestię o sposobie jego realizacji. Tak to widzę, mamy wziąć udział: od zagwarantowania prywatności posiadania danych do przywrócenia sprawczości wspólnotom. Być może będzie to równoznaczne z przeciwstawieniem się algorytmom, a na pewno powinniśmy się przyłączyć do boju o uznanie prawa do istnienia ludzkiego ciała. Być może to nie wystarczy. Nie padła odpowiedź na pytanie, czego żąda historia, ta nasza profesja pisana z małej litery. Mój przyjaciel Henryk Samsonowicz lubi powtarzać za św. Augustynem, że *Memoria est vis magna*. Ja powiem, że historia powinna zażądać uznania jej za siłę. Ale najpierw musimy w nią uwierzyć.

Być może dopiero przywracając drżenie lęku dotykamy istoty sprawy. Opis zmian, ich interpretacja i ocena, nie budzą dreszczy. Emocja pojawia się gdy

uczestniczymy, nie koniecznie gdy rozumiemy. Operacyjna eko-historia zakłada uczestnictwo historyka. Ta odpowiedzialność jest dla mnie oczywistością, wynika z wierności złożonej przysiędze.